Nr. 1. Kraków, piątek 1 stycznia 1904 Rocznik XIII.

Redakcya: ul. Basztowa, Hotel Centralny.
Administracya: Sławkowska 29.
Adres na telegramy: Naprzód Kraków.
Telefon Redakcyi: Nr. 396.

Listy należy adresować do Redakcyi „Naprzodu" Kraków, ul. Basztowa, a prenumeratę, zamówienia i reklamacye do Administracyi „Naprzodu", Kraków, ul. Sławkowska 29.

Reklamacye otwarte są wolne od opłaty pocztowej.

Numer pojedynczy 8 halerzy.
Numer poniedziałkowy 4 halerze.

NAPRZÓD

Organ polskiej partyi socyalno-demokratycznej

Wychodzi codziennie o godz. 7½ rano, a w poniedziałki i dni poświąteczne o godz. 10 rano.

Do nabycia w Administracyi ul. Sławkowska 29, w filii ul. Poselska 15, oraz we wszystkich biurach dzienników.

Ogłoszenia przyjmuje Dział inseratowy: ulica Poselska 15, oraz biura ogłoszeń i dzienników: St. Sokołowski we Lwowie, Pasaż Hausmanna; Haasenstein & Vogler w Wiedniu, Berlinie, Wrocławiu i Hamburgu; M. Opelik, R. Mosse i M. Dukes w Wiedniu; C. Adam w Paryżu, rue de la Varenne 38.

Listy w sprawie inseratów i należytości za ogłoszenia adresować należy: Dział inseratowy „Naprzodu", Kraków, Poselska 15.

Prenumerata wynosi: W Krakowie (bez odsyłki): miesięcznie 1 korona 60 hal., kwartalnie 4 kor. 50 hal., rocznie 18 kor. — Za dostawę do domu dopłaca się miesięcznie 40 hal. — W Austryi: miesięcznie 2 kor., kwartalnie 6 kor., rocznie 24 kor. — W Niemczech: kwartalnie 7 marek. — W innych krajach kwartalnie 10 franków. — Za każdą zmianę adresu dopłaca się 40 hal. — Dla robotników w Krakowie i Podgórzu tygodniowa prenumerata 40 hal.

Ogłoszenia (inseraty) kosztują od miejsca wiersza jednoszpaltowego drobnym drukiem (petitem) za pierwszy raz po 20 halerzy, następny po 10 halerzy. — Nadesłane od miejsca wiersza drukiem petitowym po 40 hal. za każdy raz. Śluby, zaręczyny i nekrologi po 80 hal. od wiersza za każdy raz. — Załączniki (prospekty i t. d.) przyjmuje się za cenę 2 kor. za 100 egzemplarzy dla zamiejscowych, a 1 kor. za 100 egzemplarzy dla miejscowych prenumeratorów. — Należytość należy naprzód nadesłać.

Żądamy równego, powszechnego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego! Precz z kuryami!

Towarzysze i Towarzyszki!

Z Nowym Rokiem „Naprzód" zacznie drukować szereg aktualnych artykułów z dziedziny socyalnej polityki, pióra jednego z najlepszych naszych publicystów. Co tydzień pojawiać się będzie **satyryczny felieton niedzielny**, pisany przez znanego polskiego satyryka. Rozpoczniemy również druk większej, **niezwykle interesującej powieści**. Dział polityczny i kronikarski będzie prowadzony z dotychczasową starannością, a dział literacko-artystyczny zostanie znacznie rozszerzony.

Upraszamy Szanownych Abonentów o rychłe odnowienie prenumeraty.

Każdy nowo przystępujący abonent „Naprzodu" otrzyma, jako **premię bezpłatną**, bardzo zajmującą powieść Wilhelma Feldmana p. t.: **„TRZECH MUSZKIETERÓW"**, osnutą na politycznych stosunkach krakowskich.

Abonentom rozsyłamy czeki pocztowe (konto czekowe Nr. 834.095), za pomocą których można uiszczać prenumeratę, nie wydając ani halerza na porto.

Prenumerata „Naprzodu" wynosi:

	w Krakowie bez odsyłki	w Krakowie z doręczeniem	w Austryi z przesyłką
rocznie	18·— K	22·80 K	24·— K
półrocznie	9·— K	11·40 K	12·— K
kwartalnie	4·50 K	5·70 K	6·— K
miesięcznie	1·60 K	2·— K	2·— K

Redakcya i Administracya „Naprzodu".

Z Nowym Rokiem.

Tyle lat przeszumiało nad tą ziemią, a każdy z nich zaczynał budzić w sercach stęsknionych lepszej doli, w umysłach udręczonych ludzi pracujących — nowe nadzieje, nowe plany na przyszłość, powstające wiecznie wśród tych, którym teraźniejszość ich wydarto i zniszczono...

Jakby u mety częściowej wstrzymuje się duch i sięga na rozdrożu dwóch lat pamięcią wstecz i zdaje rachunek z tego, co już pokonał i czego dokonał. W zapasach ludzkości, toczonych o miejsce w świecie, o chleb, o wolność, o samą możliwość życia widzimy coraz to wspanialsze dowody, że praca się wyzwala, że to, co dotąd było wdeptane w ziemię, to, co było tylko podłożem pasożytów, dzisiaj staje się ludzkością, a przynajmniej najcenniejszą jej częścią.

Rozpętane przez kapitalizm siły, owe maszyny bajeczne, drogi żelazne, prasa olbrzymia, setki tysięcy książek, gmachy wspaniałe, kultura cała, jednem słowem, to wszystko żyje pracą, żyje przez pracę i od niej zupełnie dziś zawisło. Pieniądz, nagromadzony w bankach i w kasach prywatnych to dziś nic innego, jak potężny środek do spotęgowania energii pracy, do umożliwienia jej cudów, ale zarazem do opanowania jej i wyzyskania.

Ale ta dawna niewolnica dzisiaj myśleć i organizować się zaczyna, wkrótce rządzić i kierować zapragnie... Stąd walka duchów, rozlana po całym świecie, dzielna i potężna, niosąca ludziom nowe formy życia, nowe dobrodziejstwa. Być cząstką tych zmagań się, stać w szeregu walczących, to znaczy dziś: najsilniej żyć, najdzielniej tworzyć przyszłość! Niechaj na uboczu jęczą i rany swoje liczą zawiedzeni i słabi, niechaj zniewieściali toną w rozkoszy chwili, my wybraliśmy walkę, my chcemy czynnie tworzyć życie narodu w przyszłości, chcemy być naprawdę ludźmi!

W Polsce podwójnie nimi być chcemy, bo nie tylko jako ludzi pracy gnębią nas, lecz także jako naród, któremu nie dają praw majestatu narodowi należnych, czyhają na naszą mowę, na naszą odrębność historyczną, na naszą całość.

Tam, gdzie ludzkość — i my w jej służbie — otrząsa z siebie zależność od kapitału, od przywilejów klasy, czy jednostki, tam, gdzie rozlega się hymn wolnych duchów, tam przecie nie ostoi się ucisk narodowy, zrodzony z mętnych bagien szowinizmu, dzikiej chwały wojennej i rozboju złodziejskiego.

Ten, kto woła dla swego narodu o wolność, będzie wszystkim pomagał zdjąć kajdany. I dlatego nienawidzimy z głębi serca wszystkich szowinistów, wszystkich gnębicieli, wszystkich szczwaczy „narodowych", dlatego zwalczamy ich — każdy u siebie.

Zrozumieliśmy, że warunki naszej niewoli są w słabości i przygnębieniu naszej masy ludowej, klasy pracującej. Czyniąc ten lud zdolnym do walki duchowej, dodając mu odwagi i światła, jesteśmy najlepszymi patryotami, budujemy najtrwalej jego przyszłość.

Czyśmy tych obowiązków naszych w roku ubiegłym dokonali, tego nie wiemy, ale sił naszych nie oszczędzaliśmy, wolę mieliśmy najlepszą. Praca naszych organizacyj posunęła się na niejednem polu naprzód; Rok Nowy powinien ją dalej jeszcze posunąć. Nie laurów bowiem szukamy, lecz postępów i rezultatów.

Strejk w Krimmitschau.

Strejk tkaczy w Krimmitschau trwa dalej. Dziewiętnasty tydzień ubiega, a w Krimmitschau warsztaty stoją. Wsparta silnym ramieniem niemieckiej klasy robotniczej walczy 7-mio tysięczna drużyna robotnicza dalej z zachłannym kapitałem. Czuli na los swych braci w wyzyskiwaniu i w uwielbieniu dla kabzy fabrykanci niemieccy przysłali fabrykantom w Krimmitschau... 10 tysięcy marek. Co za mimowolna ironia i oznaka czasu. Niemiecka klasa robotnicza zapewniła z zarobków w krwawym pocie zdobywanych braciom swoim byt, aż do połowy lutego i niema obawy, by ofiarność osłabła; a kapitaliści?...

Dziś Krimmitschau jest już symbolem. Walka tam wrąca, to już nie walka robotników z Krimmitschau z fabrykantami tamtejszymi. To zmaganie się dwóch potęg: z jednej strony klasa robotnicza, z drugiej oni... dotychczasowi panowie sytuacyi, którzy „niepozwolą swoim robotnikom sobie dyktować warunków". A wspiera ich ten rząd saski, który nazwisko Saksonii zidentyfikował z pojęciem gospodarki policyjnej, a któremu wybór 22 posłów socyalno-demokratycznych do parlamentu za słabą jest odpowiedzią... Czekajmy, przyjdzie i inna... Robotnicy z Krimmitschau zyskują sympatyę wszystkich uczciwych ludzi. Tylko prasa gadzinowców plwa jeszcze na nich. Profesorowie uniwersytetów, uczeni burżuazyjni, a nie żadni rewolucyoniści wykazują, iż słuszność leży po stronie robotników. Monachijskie burżuazyjne pismo „Münchener Neueste Nachrichten" umieszcza odpowiedzi na ankietę w sprawie strejku w Krimmitschau trzech niemieckich profesorów: ekonomisty, prawnika i hygienisty, a wszyscy stają stanowczo po stronie robotników, wykazując, iż nie tylko ze stanowiska dobra robotników, ale ze stanowiska rozwoju przemysłu, żądania robotników są zupełnie słuszne.

Znany uczony prof. Lujo Brentano, wykazuje na podstawie pracy o stosunkach w Krimmitschau, radcy rządowego dra Rudolfa Martina, iż skrócenie pracy z 12 godzin na 11 w roku 1881 wcale nie zmniejszyło dochodów fabrykantów, gdyż robotnicy mając więcej sił, nie tak wyczerpani, bardziej intensywnie pracowali. Takie zmniejszenie czasu pracy musi także wpłynąć na ulepszenie produkcyi, gdyż fabrykanci w ten sposób chcą powiększyć swe dochody. Przytacza dalej zdanie Martina, iż rozwój produkcyi niemieckiej jest bardzo możliwy w przyszłości, „ale warunkiem jego jest istnienie klasy robotniczej, która dzięki lepszym warunkom pracy może odpowiedzieć powiększonym żądaniom bardziej rozwiniętej techniki". Przyznali to fabrykanci w Krimmitschau radcy Martinowi przedtem, mówiąc, iż z chęcią zgodziliby się na dziesięcio-godzinny dzień pracy dla wszystkich robotników. Skądże więc walka? pyta prof. Brentano. Ponieważ fabrykanci „chcą być panami w własnym domu". „Panami w własnym domu? Czy umowa robocza jest może sprawą jednej tylko strony? Czyż niema na to odpowiedzi, iż robotnik pragnie zostać panem własnego ciała, własnego zdrowia i pragnie mieć możliwość spełniania swych obowiązków wobec własnej rodziny i społeczeństwa".

Następnie piętnuje prof. Brentano stanowisko władz, które po wszystkich swoich postępkach mają jeszcze pretensye do bezstronności i wykazuje, iż ci fabrykanci szermujący często patryotyzmem, wolą sprowadzić obcych robotników, byle niemieckim nie ustąpić.

Prawnik prof. Loewenfeld załatwia się krótko z postawionem mu pytaniem. „Saksonia jest klasycznym krajem utrudniania koalicyi robotnikom". Prawo ogólno-państwowe uznaje koalicyę robotników za konieczną; jedną z głównych form prawa koalicyi jest prawo zgromadzania się, rząd saski odbiera jednak robotnikom wolność zgromadzeń. Mimo twierdzenia bowiem rządu, iż zakaz ten dotyka także i fabrykantów, faktem jest, iż odczuwają go tylko robotnicy. To krótkie oświadczenie prawnika zbija wyśmienicie wszelkie wykręty przeciwników, o ile ci obok bagnetu i argumentu (w parlamencie) używają.

Profesor hygieny Maksymilian Gruber przyznaje zupełną słuszność i uprawnienie żądaniom robotniczym ze stanowiska hygieny. Wykazuje, jak szkodliwie oddziaływują maszyny na zdrowie ludzkie, jak wywołują rozmaite choroby, przypadające w udziale jedynie robotnikom. „Głównym środkiem zmniejszenia nieuniknienie szkodliwego wpływu pracy zawodowej jest zmniejszenie czasu pracy". Zwraca dalej uwagę, iż jedną trzecią ogółu pracujących stanowią robotnice; są one obciążone poza pracą fabryczną, ponadto pracą domową, która do reszty siły im odbiera. Dla kobiet powinien być ustanowiony najwyżej dziewięcio-godzinny dzień roboczy.

Tyle uczeni mieszczańscy. Wszak uczeni ci, wychowani w uwielbieniu dla tego wszystkiego, co świętem jest burżuazyi, przesiąknięci jej światopoglądem, nie znają tego, co porusza pierś robotnika, co go boli, co mu dolega. Dowiadują się o położeniu robotnika jedynie z statystyk śmiertelności, chorób, występków nędzą wywo-

WRAŻENIA.

Ludzkość składa się z dwóch głównych typów: deklamatorów i rachmistrzów. Ale nieraz trafiają się hermafrodyci, z których w praktyce powstają rachujący deklamatorzy i deklamujący rachmistrze.

Prof. Głąbiński jest bez zaprzeczenia najlepszym poetą wśród ekonomistów i dlatego szuka zbawienia Polski... w rzekach, nadających się do hodowli ryb i raków.

*

Odtąd więc polityka wszechpolska wstępuje w znak raka... otwarcie. (Nam się zdaje, że zjawisko to już dawno się zaczęło). Ponieważ stronnictwa nasze nie spełniają swego zadania, bo są klasowe; ponieważ „najdawniejsze stronnictwo krakowskie", zdaje się, nie ma nawet programu, więc „Słowo polskie" radzi założyć jeszcze jedną partyę — wszechpartyjną: „związek narodowy"; tylko... „nie pytajcie o bliższy program tego związku" — powiada.

*

Szczęść Boże!
Więc do roboty.

Mając „wspólne ideały narodowe", nie traćmy czasu i hodujmy po rzekach raki.

*

Tylko nie deklamujmy, panowie, bo to zaślepia. A choć na bezrybiu i rak ryba, nikt się nim jednak nie nasyci.

„Na tej ziemi walczą ze sobą dwie wiary — wiara w potęgę zła i wiara w twórczą siłę dobra. Biada społeczeństwu, w którem pierwsza z tych dwóch wiar zapanowała".

„Dwunastu ludzi, którzy przed wiekami uwierzyli w potęgę dobra, przyniesionego na świat przez Chrystusa i którzy z tą wiarą poszli między narody — zwyciężyli świat cały".

Tak przynajmniej zapewnia organ wszechpolaków. Wierząc w twórczą siłę dobra, ogłosili hasło... egoizmu narodowego.

A nie zasypuj piaskiem deklamacyi oczów bliźniemu twemu.

*

Już gdy dla cara posłano śniadanie od Hawełki, czuliśmy zbliżający się okres odrodzenia narodowego. Boć przecież zbawienia szukamy wszyscy; tylko nie wszyscy wzrok tęskny w jednym zwracają kierunku. I gdy praktyczny nasz ekonomista przyszłość ojczyzny uzależnia od hodowli raków, inteligentna redakcya „Głosu narodu" odrodzenie widzi znacznie bliżej:

„Wśród okropnych klęsk narodowych — powiada — które spadają na nas nieznośnem brzemieniem od stu przeszło lat — wśród strasznego rozbicia naszej ojczyzny i okrutnego poszarpania naszego narodowego ciała, kiedy rozpacz i niewiara zdają się nieraz opanowywać cały ogół myślący — zsyła nam Opatrzność", jako widoczny znak swej opieki i swej łaski... Paderewskiego.

Pan Beaupré mimo to dalej wierzy w szczególniejszą dla nas życzliwość Opatrzności.

Ten komik stanowczo się marnuje.

*

Tak, panie Głąbiński.

Mamy ziemię dobrą, mamy skarby górnicze, mamy rzeki bystre, mamy nawet raki, ale deklamatorów także mamy.

A sojusz oświaty ludowej z biskupem Wałęgą, który napewno nie wie, czy są ludzie, wchodzący w układy z szatanem — odbuduje Polskę wielką i potężną... na księżycu.

bh.

TĘSKNOTA.

Gdzie ukazów carskich siły
Tajgi mroczne głucho strzegą,
Wśród kozactwa Polak młody
Starca poznał raz siwego.

Na pierś wklęsłą mu spadały
Białych wąsów długie końce,
Kolczyk w uchu, brwi krzaczaste,
A pod brwiami oczy lśniące.

Młodzian widział takie twarze
Tam, gdzie duma ojców strzecha;
Wspomniał swoje lasy, pola
I do starca się uśmiecha.

— Ty kto? — Polak. — Ot, mój Boże!
Zwiedził Polskę ja za młodu.
Car kozaki w onej porze
Do lackiego słał narodu.

— Kiedyż to? — Taj dawno, synu:
Twoja pamięć nie doleci.
Przeminęło, jak i młodość...
Rok był sześćdziesiąty trzeci.

Pomnę — w polu to czy w mieście —
W imię Chrysta!... hulaj dusza!
Po naszemu, po kozacku
Człowiek pjan od animusza.

Żyło się!... Raz we wsi oto
Mołodycię-m przywarł k'łożu.
Aż tu, słyszę, dziecko kwili —
Matka strasznie krzywi rożu...

Więcem spisą do podłogi
Dziecko przybił, a mać potem
Takem przywarł, że z omdlenia
Rozbudziła się z chichotem...

A, bywało, cugle puszczę,
Koń się prawie w kłębek zwinie;
Ja, schylony na kulbace,
Lecę... hej!... nie to, co nynie.

Ktoby mi się tam opierał!
Kolę pana, chłopa, żyda...
W lewo, w prawo — zawsze pierwszy,
Aż od juchy kraśna dzida.

A i lachy także zuchy:
Nieraz naszych bili zdrowo...
Dawne czasy... Ej, słysz panycz,
Znasz pieśń waszą narodową?

Spojrzał młodzian w twarz starcowi.
Co przypomniał katów dzieła...
Milczy chwilę, a wtem huknie:
Jeszcze Polska nie zginęła!...

I tej pieśni kozak słucha,
Słucha... głowę wsparł na dłoni...
Hej, co było — nie powróci...
Z pod brwi siwych łza łzę goni.

bh.

łanych. Lecz i te książki, te cyfry mówią im to samo, co nam znajomość życia robotniczego, mówią im o słuszności żądań robotniczych. Lecz co znaczy dla chciwego fabrykanta głos męża, jego nauki: głos ten o tyle tylko wpada w ucho kapitalisty, o ile mu hymny na cześć kapitału pieje, o ile bezcześci ruch robotniczy. To też walka trwać dalej będzie, aż jedna strona ulegnie. Spodziewamy się, iż bracia nasi nie padną.

Władysław Orkan.

Opowieść o płanetniku.

Zwątpiwszy całkiem w oświatę, jaką z miest przez kalendarze i insze macierze polskie gwałtownie raz do roku (niby w śmigus pachnącą wodę) na łby nieuczesane rozlewano. w pewnej wsi niebardzo znanej, która jeszcze nie wymarła doznaku na tyfus, gazdowie trapiący się popróżnicy życiem i szukający daremnie jakiegoś oparcia zgromadzali się wieczorami w izbie mało jasnej i oświecali się sami (dziwny sposób!) przez różne z życia opowieści, jakie zwyczajnie ogólnej uwadze jeden lub drugi podawał.

Więc w jeden wieczór Szymek z Końca taką opowieść przytoczył:

„Niedaleko od nas, bo koło Góry św. Jana, ludzie dobrzy, zamożni, których tam zwią kniecie, chowali sobie w domu płanetnika. I czuli się bezpieczni przed burzą; nie obawiali się, że im grad zboże poniszczy, ulewa ziemniaki spłucze, bo ich o tem zapewnił sam, gdy go w gościnę radzi przyjmowali, chociaż można rzec z niejakąś obawą, jaką zwyczajnie człowiek zwykły czuje przed takimi.

Ciekawiście, jak wyglądał ten ich chowany płanetnik? Był to panek dość zgrabny i w odzieniu czarniawem, jakie się na panach widzi. Zresztą nie miał na pozór nic dziwnego w sobie.

Przyszedł raz do nich jak wędrownik i na pytanie: co robi? czem się zajmuje? powiadał, iż burze zażegnuje. Któżby inszy mógł być, jak nie płanetnik? dumali i przyjęli go w gościnę.

No i pomału z dnia na dzień oswajali się z nim jakoś, i tak się wreszcie do niego przyzwyczaili, że już nie czuli nijakiej obawy przy nim. Natomiast mieli w sercach raj i spokój taki, jakiego przedtem nigdy nie miewali. Zazdrościli im wszyscy ludzie dookoła, i pewnie byliby im tego płanetnika obietnicami do siebie zwabili, gdyby ich ta myśl nie cofała, że „gdy burza nadejdzie, a on ją zażegna, to przecie i ich grunta się przytem ocalą, jako o miedzę sąsiednie; a tak się i skorzysta i kosztów się nie poniesie żadnych na chowanie. Niech sobie go tam chowają.“

Chowali go też ci kniecie, czem mogli najlepszem, bo i grymaśny był bardzo. Jajecznicę mu smażyli, zacierkę z bielutkiej mąki na mleku słodkiem gotowali — no słowem miał opiekę — jakby wam jaśniej przedstawić? — ani pleban nie miał takiej od swojej gospodyni. I szanowali go wszyscy, nawet czeladź — gdy spał w świetlicy, to na palcach przez sień przechodzili, drzwi, które skrzypiały, w piekarni nie dowierali, kury przeraźnie gdaczące na ten czas z kojca wynosili, świń o tym czasie do jadła nie puszczali, nikt chyba już tak nikogo nigdy nie szanował.

I dobrze temu płanetnikowi tam było — sam nawet mówił, że mu dobrze. Całymi dniami nic nie robił — święty miał czas — wsze święto. Jeno czasem przychodziła na niego płaneta. No, zwyczajnie u płanetnika. Cóż się dziwić? Najczęściej, gdy mgły schodziły od wierchów w doliny. We mgłach on jeno lubiał chadzać. Wtedy wyszedł w pole w swoim wietrznym płaszczu i kto wie, co tam nie robił — bali się bowiem domownicy daleko za nim wyzierać. „Swoje sprawy czyni“ powiadali. I dowiadywali się dopiero wieczorami od wystraszonych pasterzy, iż mgłę do torby brał i nosił ją na wierzch wysoki, tam jakby w chmurze, kule ze śniegu robił i tulał je, bawiąc się niby, nieraz do śródwieczerz — to znowu, i że w potoku wodę kijem bił dotąd, pokąd się w lód nie ścięła, — i inne jeszcze dziwne historye.

Po takich pracach gdy wracał, zmęczony był bardzo. To też czempilniej stroili mu, co mieli jeno najlepszego. Jadł i spał potem — a ludzie byli spokojni.

I tak czas święcie mijał, przechodziło już i lato — o burzy ani słychu. Nigdy się tak szczęśliwie żniwa nie zapowiadały.

Poczynali się już i ludzie dalsi zwiadywać (bo słyna szła) o tego płanetnika: czyby do nich na zimę nie przyszedł; dumając w swoich rozumach, że owi kniecie, który go chowają, chętnie go na zimę puszczą (jako, że w zimie o burze obawy nie ma), a oni już, co stracą, to stracą — to, zimując go, na lato sobie zapewnią jego opiekę i wdzięczność — może i na dalej — kto wie — przyszłość taka niepewna... ale owi dobrzy ludzie ani przykładać sobie do myśli nie dali, iżby się mieli pozbyć tak zacnego gościa. „Już my go tu i wyzimujemy“ — powiadali. Za nicby sobie tego spokoju nie dali odebrać, jakim ich napełniał on, w domu ich bawiący. „Oto jak życie życiem takiego lata cichego nie było. Co się zamgli na niebie, to się rozpogodzi. Wszystko, dzięki jemu (dawniej: dzięki Bogu), rośnie i bez szkody na polu dojrzewa. Co to, widzicie, znaczy: mieć moc albo władzę... A co to znaczy: mieć taką władzę u siebie!“ już poczynali się pysznić „swoim płanetnikiem“, jak go po domowemu przed obcymi zwali.

I w takiej spokojności świętej czas upływał, żniwa się wolno poczynały. Ludzie się i nie spieszyli ze żniwem, jak w insze roki, gdy trza było kraść czasowi ze rzadka sposobne chwile. Widzieli same pogodne dni przed sobą.

Aż tu jednego przypołudnia przybiega służąca, która na miedzy na wzgórzu trawę do podoju żęła i powiada zadyszana, iże słyszała grzmot w chmurze. Zrazu nie wierzyli jej i wyszli słuchać. I obaczyli na oczy czarną na zachodzie noc w oddali wielkiej i usłyszeli głuchy odgłos przetaczającego się po niebie grzmotu. Zatrwożyło ich to trochę, więcej jednak ze zwyczaju, niż z prawdziwej obawy. Przecie chowają płanetnika. Weszli napowrót do izby, a przechodząc przez sień zajrzeli przez szparę do świetlicy, aby się upewnić w sercach, iż on jest w domu; obaczyli go śpiącego, więc temspokojniej posiedli w izbie na ławach. Ba — po niedługim czasie odgłos grzmotu do izby doleciał, i ściany nawet, widziało się, zadrżały przy tym odgłosie. Nie mogli długo usiedzieć spokojnie i znowu wyszli patrzeć. Czarna noc zbliżyła się — widać było wyraźnie kotłujące się ceglaste chmury. A w tych chmurach tak szumiało, jakby tysiące ptaków gdzieś górą leciały, albo jakby się potoki zeszły w jeden huczący wodospad. Groza szła od tego szumu. A tu już i błyskawice oczom się pokazywały — różne łańcuchy ogniste, zygzaki, czasem krzyże — i grzmot się toczył bezustanku.

Wtedy poczęli szeptać między sobą: „Trzaby go obudzić.“ Ale żadne nie miało śmiałości iść, żadne nie chciało pokazywać trwogi. W końcu, widząc już, że niepeć, że chmura już pół nieba zajęła, zdecydował się sam knieć i wszedł nieśmiało do świetlicy.

Płanetnik już nie spał. „Też róbcie jako“ — począł knieć z jąkaniem — „bo widzicie, co się dzieje“... — „Widzę...“ — odrzekł płanetnik — „macie zaraz na oknie, tu“ — pokazał — „położyć piędziesiąt koron.“ I począł się powoli ubierać. Knieć miał się zapytać: „na co?“, ale odłożył na później, by się przez to pytanie jakie zło nie stało — poszedł posłusznie do komory, przyniósł pięćdziesiątkę i położył ją na wskazanem miejscu. Spokój, z jakim się płanetnik ubierał, wlał napowrót wiarę w serce kniecia — wyszedł uspokojony i zwołał domowników do izby, gdzie znowu na ławach posiedli i spokojności serc swoich czekali. Dawniej byliby, trwogą ogarnięci, szukali dzwonków loretańskich, chleba świętej Agaty, mąkę na ogień by sypali, a gdyby i to nie pomogło, to popadaliby na klęczki, zamknąwszy pierwej drzwi i okna, i wołaliby w ostatniej ucieczce, w łkaniu rozpacznem: „Święty Boże!...“ a teraz oto nic im z tego do głowy nie przyszło, jeno pozierali z ciekawością przez uchylone nieco drzwi piekarni, których umyślnie ktoś nie domknął, ku świetlicy: co on tam robi, czy już czyni, czy już zażegnuje...

A płanetnik, ubrawszy się, schowawszy pięćdziesiątkę i pozbierawszy rzeczy swoje, których nie miał wiela, bo jeno kij, torbę na mgłę i ów płaszcz wiatrem podszyty, stanął — pomyślał trochę — i wyszedł. Widzieli go, jak wychodził, i, choć ciekawość ich rwała, nie mieli odwagi za nim na pole iść. A już był czas najwyższy, bo burza była już tuż prawie.

Moiściewy — jak przyszedł grad, to zbił tak wszystko doznaku, że nie mieli ludzie dobrzy co po gradzie zbierać. Wytrzepał wszystko... do imentu!

Takiego się to cudu dochowali.“

Długie po tej opowieści Szymka nastało milczenie. Gazdowie kurzyli fajki, sapali głośno, rozważali. W końcu Cyrek od kościoła, siedzący najdalej w kącie, wyjął fajczynę z zębów, splunął i odezwał się cichawo zwolna:

— Ono ta tak... wielu jest takich płanetników, co się chwalą, że burzę potrafią zażegnać. Skoro burza nadejdzie — tracą się. A lud ich chowa... Ono ta tak...

I znowu się cicho uczyniło. Jeno sapania ciężkie a pykania z fajek słychać było. Nikto z nich jakoś nie myślał już nowej podawać opowieści.

Na Nowy Rok.

Opowiadanie z życia.

Pan Zenon Kochmański, rządca klucza hrabiowskiego, złożonego z kilku bogatych wsi, należał do tej kategoryi ludzi, którzy nie tylko, że wstydzili się swego charakteru służbowego, ale potrafili nawet wyrobić sobie specyalną teoryę poglądową o swem pańskiem posłannictwie i roli pańskiej, jaka im w udziale w dzisiejszym społeczeństwie przypadła. Dla lepszego udokumentowania swej teoryi pan Zenon Kochmański korzystał z swych praw jak najszerzej, znęcał się nad służbą, bez litości napędzał oficyalistów nie dotrzymując kontraktów służbowych, nie miał zrozumienia ani dla siwego włosa steranych sług ani wdzięczności dla uczciwości podległych mu ludzi. Był satrapą w całym tego słowa znaczeniu i im głośniej odbijały się o uszy jego przekleństwa krzywdzonych, tem wyżej dął głowę, uważając ogólne niezadowolenie za synonim swej władzy pańskiej. A łatwo przychodziło panu rządcy niepowstrzymanie rządzić w myśl swych poglądów, bo właściciel klucza, młody hulaka od kilku lat włóczył się za granicą nie zaglądając nawet do swych włości i roznosił sławę imienia hrabiowskiego po tinglach Wiednia, Paryża, domach gry w Monte Carlo i Ostendzie albo puszczał setki i tysiące na placach wyścigowych grając w totalizatora.

Rządził więc pan Kochmański po pańsku, urządzał polowania, jeździł czwórką i zaciągał długi na swe potrzeby na hypotekę hrabiowską, pewny, że nigdy do obrachunku nie przyjdzie a choćby przyszło, to przecież wierzył w szlacheckie słowo hrabiego, który mu obiecał za wierną służbę zapisać jeden z folwarków w testamencie. Miał więc pokrycie na przeszłość i teraźniejszość pańską.

Na kartach wizytowych pisał się pan rządca: „Zenon Bończa Kochmański, pełnomocny plenipotent dóbr Jaśnie Oświeconego Hrabiego“... Nowy rok był zawsze dniem trwogi dla licznej rzeszy sług i oficyalistów wielkiego klucza hrabiowskiego. W tym bowiem dniu miał zwyczaj pan Kochmański podawać w sinych, urzędowych kopertach, zaopatrzonych herbem i inicyałami hrabiowskimi, wypowiedzenia tym sługom, na które w ostatnich dniach padło niełaskawe oko pana plenipotenta. Prośby, płacze, narzekania nie pomagały. Brwi pana Kochmańskiego marszczyły się, oko ściągało się jak do strzału, usta przybierały wyraz wydłużonego pyszczka karpia, przez zęby syczały twarde słowa: „Marsz! dość najadłeś się mego chleba!“ To były ostatnie słowa, kto ich nie zrozumiał, wylatywał za drzwi porwany rękami dwóch wygalowanych fagasów, spełniających rozkazy swego pana, wydawane mgnieniem brwi.

Znała dobrze służba pana Kochmańskiego, nieapelowała też nigdy do jego uczucia, ale zawczasu asekurowała się, prosząc na kilka dni przed nowym rokiem, żonę pana Kochmańskiego o wstawiennictwo.

Czasami droga ta nie zawiodła, bo pan Kochmański był przykładnym mężem i katolikiem, lubił swoją małżonkę. Ale czasami protekcya nie odnosiła skutku. Zdarzało się to szczególnie wówczas, kiedy panu Kochmańskiemu przypomniano jego stanowisko służbowe. A były takie wypadki. Sąd, urząd podatkowy, dyrekcya skarbowa, starostwo i inne urzędy nie miały zwyczaju inaczej adresować urzędowych kawałków do dóbr hrabiowskich jak: „Zarząd dóbr Jaśnie Oświeconego pana Hrabiego na ręce rządcy Zenona Kochmańskiego“. Miał wówczas i darł pan Kochmański taki dokument, szarpał wąsy, mrucząc:

Bydło, pisarze, zapominają, że jestem szlachcicem herbu Bończa, żem pan z dziada pradziada, osły!...

Klnąc tak, biegał po pokoju, siadał do biórka i co chwila kreślił jedno z nazwisk oficyalistów, dodając:

— Co? Ja tu zaraz pokażę, czy jestem Zenon Kochmański! Leśniczy od pierwszego marsz, gorzelnik od pietnastego precz, ekonom od pół roku marsz!“ i t. d.

To go uspakajało. Gdyby po takiej roztercе duchowej przyszła do pana Kochmańskiego żona na wywiady, kto został wciągnięty w tym roku na listę banicyjną, to tylko zwiększyłaby liczbę ofiar ambitnego rządcy. Skakał wówczas z zaciśniętemi pięściami przykładny małżonek, wypominając samiczce jej plebejuszowskie pieluchy, suszone na piecu biednego oficyalisty.

— Ot, ty nie masz zrozumienia dla naszego honoru rodzinnego, nie rozchodzi ci się o przyszłość naszych dzieci! — wołał pan Kochmański. — Opiekę nad parobkami, dziewkami od krów i inną służbę pozostaw wikaremu, karczmarzowi i mojej pałce, nie mieszaj się do nieswoich rzeczy, zapomnij raz o swojej perkalowej spodnicy panny ekonomianki!

Wszelkie argumenty były wówczas próżnym wysiłkiem.

Niejednokrotnie rok zaczynał się takiemi scenami noworocznemi, które zazwyczaj kończyły się sporami sądowemi, płaconemi z funduszów hrabiowskich. Raport do hrabiego szedł wówczas krótki, przedstawiający napędzonego w czarnych kolorach zawodowego zbrodniarza.

W tym roku było jeszcze gorzej. Duma pana Kochmańskiego została nielitościwie draśnięta i to nie przez jakiś c. k. urząd, ale przez zwykłego leśnego, który na obelgi ciskane pod jego adresem przez rządcę, odważył się wobec licznie zgromadzonej służby powiedzieć panu Kochmańskiemu: „Tyś taki san sługa jak i ja. Jak ciebie hrabia napędzi, to nie tylko czwórką nie będziesz jeździł ale nawet powozić ci nią nie dadzą, boś głupszy od furmana!“

Żółć pękała w panu Kochmańskim ze złości. Byłby się cisnął na leśnego, pogryzł go pokaleczył, gdyby nie ogromne barki leśnego i przez ramię przerzucona strzelba, nerwowo ściskana szorstką dłonią podrażnionego sługi.

Wpadł do swej kancelaryi, pędził jak szalony z kąta w kąt, targał sobie włosy, zdawało mu się, że ściga go zjadliwy uśmiech leśniczego, połączony z chichotem parobków i dziewek dworskich.

Kto go teraz będzie szanował? Kto ugnie przed nim głowy? Może jutro spotkać go ten wstyd od stajennego, gumiennego, od fornala, lokai, od całej służby, która była świadkiem tej sceny!

Pan Zenon Bończa Kochmański był w rozpaczy. Co zrobić?

— Ha, wypędzę całą służbę! — zawołał. Od kucharza do karczmarza, wszystko będzie nowe, nie śmie być u mnie świadka mojej hańby!

Siadł przy biurku i począł szybko kreślić nazwiska jednego sługi za drugim, jednego oficyalisty po drugim. Wszystko precz!

Po dwu godzinach takiej nerwowej pracy, odetchnął Pan Kochmański lżej.

— No, dwa dni dzielą mnie od nowego roku. Ja im pokażę czy jestem takim samym sługą jak leśny, ja Zenon Bończa Kochmański! Wszystko napędzę, a niech oni wszyscy potrafią mnie jednego napędzić! Ja im pokażę!

Rozmawiając tak głośno ze sobą, przeszedł pan Kochmański z kancelaryi do pokoju jadalnego, gdzie oczekiwała go rodzina z kolacyą. Pani Kochmańska wiedząc o awanturze z leśnym, postanowiła koniecznie uratować kilka starych uczciwych sług od wypędzenia na stare lata, z domu gdzie straciła na pracy kilka dziesiątek lat.

Przybliżyła się więc po kolacyi do męża, a tuląc się mu na piersi, poczęła miękkim swoim uśmiechem rozbrajać go, prosząc o litość dla swych protegowanych. Zaledwie z ust żony wypadły słowa „sługi“, zerwał się pan Kochmański na równe nogi a niezważając na obecność dzieci począł wykrzykiwać:

— Tak, tak, wiedziałem, że chowam żmiję pod sercem! Chłop nigdy nie zrezumie uczuć pana! Ty córka ekonoma parobka, ciebie ciągnie zawsze do stajni! Tobie milszy honor leśnego jak cześć twego męża i ojca twoich dzieci!

Płynęły panu Kochmańskiemu potokiem obelżywe wyrazy wśród spazmatycznego płaczu żony i sekundujących jej dzieci.

— Płacz — krzyczał pan Kochmański. — Nic nie pomoże, milsza mi śmierć, jak hańba!

Nowy rok nie zastał małżeństwa Kochmańskich w zgodzie! Ciężkie obelgi, ciśnięte przez Kochmańskiego żonie rozdzieliły ich daleko, a ambicya obustronna nie pozwalała się zbliżyć.

Pan Zenon Bończa Kochmański rozkazał przynieść sobie śniadanie do swej kancelaryi, w której zwykle przeglądał poranną pocztę. Z zadowoleniem zbliżającej się zemsty przeglądał raz jeszcze koperty z wypowiedzeniem służby i kontraktów całemu personalowi klucza hrabiowskiego. Lokaj przyniósł mu pocztę.

Na wierzchu gazet i listów, leżała wielka szara koperta z nagłówkiem drukowanym: Dr. Stanisław Ziemski, adwokat krajowy w N. Na adresie napisano: „Do Pana Zenona Kochmańskiego, byłego zarządcy dóbr Jaśnie Oświeconego pana Hrabiego...“

Pan Kochmański przetarł oczy raz i drugi, nie rozumiejąc tego słowa „były“.

— Jakto? Przecież jeszcze jestem, co za były? Ot, durny paragrafista, wytnę ja mu reprymendę! — mruczał pan Kochmański rozcinając brzeg koperty.

Na niebieskim, kratkowanym papierze kancelaryjnym było wewnątrz listu pismo tej treści:

„Do Pana Zenona Kochmańskiego! Zawiadamiam Pana, że zostałem przez sąd opiekuńczy mianowany kuratorem J. W. Hrabiego..., który na żądanie rodziny został oddany pod kuratelę jako marnotrawca. Zawiadamiając Pana o tem, zarządzam, aby z dniem 1 stycznia 1904 roku wszystkie sprawy kupna i sprzedaży, długów i wierzytelności zostały przez moją kancelaryę załatwione, co też równocześnie ogłaszam w dziennikach krajowych celem spłat będących w obiegu a własnoręcznie przez hrabiego wniesionych weksli i skryptów dłużnych.

Równocześnie zawiadamiam Pana, że z dniem 1 stycznia zwalniam Pana z zajmowanej przez Pana służby, z tem że jako odprawę otrzymasz Pan trzymiesięczną pensyę, z góry.

Mój pełnomocnik obejmie zarząd dóbr z dniem...

Czerwona, tłusta twarz pana Kochmańskiego powlekła się białym, jak kreda całunem. Wargi drżały, pot kroplami spływał z czoła.

— ...Spłaty, długi, weksle, skrypty własnoręczne... — powtarzał pan Kochmański w niełądzie.

— Oj, moja dola! Moje dzieci! Hańba!... i powoli usunął się na ziemię z jękiem Zenon Bończa Kochmański, napędzony sługa.

Witołd Reger.

Przegl[illegible]

**Choroba rob[illegible] o-strawskiem za[illegible] się w dalszym ciąg[illegible]rze-go, należącym [illegible]zały się wśród górn[illegible] wleczo-ne z Węgier. [illegible]wadziła dyrekcya gw[illegible]ików z Brennbergu, a[illegible] sobą ową groźną chorob[illegible] nich skon-statowali lekarze [illegible]o do szpi-tala, oraz zarządz[illegible]adcze; ko-szta, jakie zarządz[illegible]dowały, ponoszą jednak robotni[illegible]zkolwiek nie ich chciwość chorobę sprowadziła. Bogu ducha zaś winnych robotników z Brennbergu nie chce dyrekcya nawet po wyleczeniu przyjąć do pracy. Również i na innych szybach pracy znaleźć nie mogą. O ile jednak jej szukają, poddać się muszą badaniom lekarskim i 6-dniowej kwarantannie, podczas której są bez zajęcia, a więc i bez chleba. A wielu z nich ma żony i dzieci. Kapitaliści chorobę sprowadzili, a robotnicy jej straszne skutki ponoszą.

Ruch robotnic polskich w Wiedniu. W niedzielę dnia 27 grudnia 1903 odbyło się tu staraniem stow. „Siła" drugie zebranie kobiet pracujących. Zebrało się 40 kobiet bądź to pozostających tu w służbie, bądź to zatrudnionych w fabrykach. Zagaiła tow. Szybowska, wskazując na położenie kobiet. Referat o „Socyaliźmie" wygłosiła tow. Helena Gumplowicz. Referentka w nader popularny sposób wyjaśniła obecnym istotę socyalizmu i jego dążenia, następnie skreśliła cele i zadanie organizacyi oraz znaczenie prasy robotniczej. Po referacie przyjętym z zapałem przez obecnych, odbyła się ożywiona dyskusya, w której zabierało głos kilka towarzyszek, poczem uchwalono rozwinąć energiczną agitacyę wśród kobiet i przystąpić do „Siły", oraz polecono komitetowi urządzać co drugą niedzielę popołudniu specyalne odczyty i wykłady dla kobiet. Po zebraniu zapisało się 10 kobiet do „Siły".

Z sali sądowej.

Oszczerstwa przeciw tow. Kurowskiemu przed sądem. W opuszczeniu strasznem i upodleniu kona „opozycya" przeciw organizacyi kolejarzy: aż litość zbiera. Krzyczało to z początku tyle po Krakowie, hałasowało, moralizowało, zapowiadało odkrycia straszne o korupcyi itd. a dziś: dziś jako ostatni środek podniecający do utrzymania nędznego życia używa się jeszcze drukowanych odezw oszczercy chrześcijańsko-społecznego Bebericza, przysłanych za darmo z Wiednia. Resztki makulatury, której w Wiedniu rozdarować nikomu nie można, wędrują do galicyjskiej opozycyi, jako zbawczy „eliksir życiowy" i aby uratować rozkładającego się trupa bibułą ze śmietników antysemickich.

W procesie tow. Kurowskiego przeciw konduktorowi Wolnemu odbyła się dnia 28 grudnia ostatnia rozprawa w sądzie krakowskim. „Opozycya" zapowiadała, że w sali sądowej udowodni obrzydliwe nadużycia sekretarza organizacyi, porozumienie z dyrekcyą, malwersacye różne. Pełechowicz ze Stanisławowa, wykluczony z organizacyi, zapowiadał w liście do Wiednia pisanym „pod słowem honoru", że udowodni malwersacye, Cefal z Podgórza miał zmiażdżyć tow. Kurowskiego swemi odkryciami, Bachowski przygotowywał się do tryumfalnego wyliczania podpatrzonych i pilnie notowanych brudów swego byłego kolegi redakcyjnego. A skończyło się na tem, że na ostatniej rozprawie po przesłuchaniu pod przysięgą Pełechowicza, Cefala i innych pogromców korupcyi nie wyszło na jaw nic a nic z tych różnych faktów, o których tyle rozpowiadano.

Rozprawę prowadził hr. Mieroszewski, zastępował tow. Kurowskiego dr Heski. Najciekawiej w tej sprawie znalazł się oskarżony Wolny: On, który przed tow. Duszkiem, reprezentantem centralnego zarządu organizacyi, wygadywał z oburzeniem, że tow. Kurowski to wróg kolejarzy, że jest w porozumieniu z dyrekcyą, która jego synowi dała posadę, że wybudował sobie dom za zdradzanie kobiety itd., ten sam Wolny w sali sądowej ogromnie jakoś spokorniał. Oświadczył, że nic a nic nie wie o żadnych nadużyciach Kurowskiego, że rozmawiał z Duszkiem tylko poufnie, że Duszek go nie rozumiał, że sąd jest niewłaściwy itd.

Przy rozprawie tow. Kurowski przedłożył sądowi do dyspozycyi dokładne rachunki przez się złożone, wykazy, zestawienia, obszerny protokół konferencyi lwowskiej, dalej oświadczenie Pełechowicza, iż zarzuty wszystkie cofa i tow. Kurowskiego przeprasza. Wszystko to odczytano i zbadano. Odczytano także zaprzysiężone zeznania tow. Duszka, Müllera i Tomschika, że po najdokładniejszem badaniu rachunku, okazało się, iż ani centa nie brak, że tow. Kurowski jest wzorowym urzędnikiem i najuczciwszym człowiekiem. Przesłuchano jako świadka tow. dra Marka i tow. Misiołka, którzy z oburzeniem odrzucili insynuacye, jakoby przeciw tow. Kurowskiemu jakikolwiek zarzut niehonorowy podnieść było można. Tow. dr Marek, jako świadek, scharakteryzował nadto w dłuższem przemówieniu wartość moralną opozycyi, oświadczył, że brzydząc się intrygami i napaściami niesłusznymi, miotanymi na tow. Kurowskiego, nie przyjął ofiarowanego mu sekretaryatu kolejarzy.

Ze strony oskarżonego na odparcie tego materyału dowodowego przedłożono na ostatniej rozprawie oszczercze odezwy Bebericza w języku niemieckim i polskim przeciw tow. Tomschikowi i przeciw „żydowskiej gospodarce" w organizacyi skierowane. Już to samo wystarczyło dla wykazania, jak czystym i bez zarzutu jest tow. Kurowski, skoro do pokonania go używa się takich podłych odezw, skierowanych przeciw innej osobie.

Ale najlepsza ilustracya opozycyi zaszła dopiero pod koniec rozprawy. Zastępca tow. Kurowskiego dr Heski oświadczył, iż „biednemu" Wolnemu, który jest obecnie ciężko chorym i był tylko echem plotek bezkarnie szerzonych, daruje całą winę, jeżeli strona przeciwna zgodzi się, aby teraz Bachowski podał w sądzie jako świadek, chociażby jedno tylko nieuczciwe postąpienie tow. Kurowskiego. Dr Heski zapewnił bezkarność nie tylko Wolnemu, ale i Bachowskiemu. Wezwał Bachowskiego w imię uczciwości, aby z poza płotu papierowego drukowanych w swym organie kolejarzy „artykułów", wystąpił uczciwie i niedwuznacznie tu w sali sądowej i powiedział, co wie o Kurowskim, którego tak prześladuje.

Wtedy obrońca Wolnego wstał i sprzeciwił się przesłuchaniu Bachowskiego, który siedział nieruchomy w sali sądowej i patrzył na zbawcze odezwy Bebericza, złożone na stole sędziowskim. A więc nic mu nie zostało z całego hałasu, nic tylko jeden — Bebericz, którego dr Heski nazwał z powodu treści tych odezw „ostatnim szubrawcem", żądając zanotowania do protokółu.

Po przemówieniu końcowem dra Heskiego i oskarżyciela Kurowskiego zaszedł następujący epizod: Tow. Kurowski zażądał jeszcze raz głosu i oświadczył, że z litości dla Wolnego, dla jego rodziny, mając zupełną satysfakcyę z przebiegu procesu, który jest straszną klęską dla oszczerców, prosi bardzo o jak najłagodniejszy wymiar kary.

Sędzia wydał wyrok, uznający Wolnego winnym oszczerstwa. Nadto ogłosił, że z uwagi na ciężką chorobę Wolnego i jego rodzinę wymierzył mu 5 dni aresztu, które w uwzględnieniu prośby oskarżyciela Kurowskiego zamienia się na 10 koron grzywny.

Wyrok, uznający Wolnego winnym oszczerstwa, winien zarumienić czoła tych, którzy bezkarnie i bezsumiennie szerzyli i chcą dalej szerzyć intrygi osobiste wśród organizacyi kolejarzy. Ale intrygi te, jakkolwiek patronują im wielcy panowie, z pewnością wkrótce ustaną, bo „kłamstwo ma krótkie nogi".

KRONIKA.

Wszystkim czytelnikom „Naprzodu" zasyłamy serdeczne życzenia z okazyi Nowego Roku.

Następny numer „Naprzodu" wyjdzie w sobotę 2 stycznia o godz. 10 rano.

Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza w Krakowie zapowiada na styczeń następujące serye wykładów: prof. dr Wasung: „Goethe i Schiller"; Marya Turzyma: „Rola kobiety w społeczeństwie"; prof. dr Władysław M. Kozłowski: „Herbert Spencer" i „Historya najnowszej filozofii"; Helena Witkowska: „Deklaracya praw człowieka"; docent dr Feliks Kopera: „Rzeźba włoska w epoce odrodzenia"; dr Maurycy Kapellner: „Choroby weneryczne, ich znaczenie społeczne i walka z niemi" (wyłącznie dla dorosłych mężczyzn); docent dr Władysław Heinrich: „Fizyka materyi"; dr Julian Gertler: „O ugodzie austro-węgierskiej".

Wykłady te odbywać się będą w sali Muzeum techniczno-przemysłowego obok kościoła Franciszkanów. Codziennie będzie w „Naprzodzie" ogłoszony wykład przypadający na dany dzień.

Pierwszy bal Chóru robotniczego w Krakowie odbędzie się w sobotę 16 stycznia w wielkiej sali „Sokoła". Do tańca przygrywać będzie cała kapela „Harmonii" pod batutą swego kapelmistrza. Komitet balu dołożył wszelkich starań, aby zabawa ta odbyła się pod każdym względem znakomicie, nie szczędząc wydatków na rozmaite niespodzianki. Sala cała przedstawiać się będzie jak jeden wielki las świerkowy, co będzie nader oryginalne. Wstęp na salę 1 K 20 h, na galeryę 2 K. Wobec tak taniego wstępu chyba żaden towarzysz nie pominie tej sposobności i przybędzie wraz z rodziną na ten jedyny w tym karnawale bal robotniczy. Na balu urządzoną również będzie tombola. Kostyumy nie są wykluczone.

Z teatru miejskiego komunikują nam: Nowy Rok rozpocznie w teatrze po południu po raz 11 „Kopciuszek", a wieczorem „Wesele Figara" Beaumarchais'go, w sobotę odbędzie się drugi koncert mistrza Paderewskiego, a w niedzielę po południu odegrany zostanie po cenach zniżonych „Dom otwarty" Bałuckiego, wieczorem zaś po raz 12 „Kopciuszek". W przyszłym tygodniu wznowiony zostanie Szekspirowski „Makbet" z p. Wysocką w roli lady Makbet, oraz p. Kotarbiń-kim w roli Macduffa. Pierwszemi nowościami w styczniu będą trzy jedno-aktowe utwory Nowaczyńskiego p. t.: „Światłocienie" i „Róża Bernd", głośny dramat Gerharda Hauptmanna w przekładzie Kasprowicza.

Wstęp na wystawę gwiazdkową dla młodzieży szkół średnich zniżonym został od dnia dzisiejszego na 10 halerzy od osoby, a to celem ułatwienia zapoznania się młodzieży z wyrobami krajowymi, a specyalnie z działami interesującymi młodzież najbardziej.

W niedzielę 3 stycznia, jako w dzień ostatecznego zamknięcia wystawy, urządzoną zostanie tombola, licytacya, kosze szczęścia, drzewko szczęścia dla dzieci i mnóstwo innych ciekawych niespodzianek. Komitet wystawy nie wątpi, że publiczność, mając tak łatwą sposobność zaopatrzenia się tanio w wyroby krajowe, tłumnie pospieszy na wystawę.

Znowu wydalania przy tramwaju krakowskim. Dyrektor tramwaju krakowskiego p. Ferdynand Fischer nie wiele sobie ceni swoje słowo, iż bez poważnego powodu nie będzie wydalał personalu ze służby. Przed dwoma tygodniami dopiero wydalił trzech tramwajowców: Romana Tonderę (pracował przy tramwaju 3 lata), Jana Chonzatkę (15 miesięcy) i Jana Smółkę (16 miesięcy), a obecnie znowu wydalił tramwajowców: Józefa Nosala (15 miesięcy), Teodora Putałę (15 miesięcy), Łukasza Piecha (9 lat), a nadto dwóch robotników, nie należących do organizacyi, z których jeden, Józef Wiatr, pracował przy tramwaju trzeci rok i w służbie tramwajowej nabawił się chronicznego zapalenia stawów. W sprawie tych wydalań odbędzie się w niedzielę 3 stycznia 1904 r. o godz. 11 rano zgromadzenie publiczne w sali browaru Johnów.

Obrót czekowy pocztowej Kasy oszczędności został od dnia dzisiejszego przez ministerstwo handlu rozszerzony w ten sposób, że zapomocą niego mogą strony wypłacać należytości poczcie, a poczta stronom.

Z bagienka autonomicznego. W wadowickim wydziale powiatowym od dłuższego już czasu panuje kompletna anarchia. Od roku przeszło nie było już posiedzenia rady powiatowej, a od dziesięciu miesięcy nie było posiedzenia wydziału powiatowego.

W marcu 1903 odbyły się wybory do rady powiatowej, która w kilka dni później ukonstytuowała się, wybierając wydział. Ponieważ jednak, wbrew wyraźnemu brzmieniu ustawy, wybór ten kazał starosta Geppert przeprowadzić jawnie, przez aklamacyę, więc został on unieważniony. W kwietniu 1903 odbyły się więc ponowne wybory, przeciwko którym znowu wniesiono protesty.

Korzysta z tego dawny marszałek powiatowy, obecnie znowu prezesem rady powiatowej wybrany p. Przecław Sławno Sławiński i, nie zwołując ani starego ani nowego wydziału, rządzi sobie zupełnie samowładnie. Pomijając to, że takie, blisko rok już trwające samowładne rządy marszałka Sławińskiego są krzyczącem nadużyciem ustawy, anarchia ta przynosi niesłychane szkody całemu powiatowi, który zniszczony ostatniemi powodziami, potrzebuje wydatnej pomocy i gorliwej pracy właśnie wydziału i rady powiatowej.

Tymczasem starosta wadowicki p. Geppert, którego obowiązkiem byłoby położyć kres tym bezprawiom, nietylko osłania i popiera Sławińskiego, lecz jeszcze na własną rękę popełnia nowe bezprawia. Oto posiedzenia starej rady powiatowej, zwoływane celem uchwalenia budżetu na rok 1903, raz w jesieni 1902, a drugi raz z początkiem 1903 zerwali stańczycy rozmyślnie. Tym sposobem budżet na rok 1903 nie został wcale przez radę powiatową uchwalony, ani też przez wydział krajowy zatwierdzony. Ponieważ zaś tem samem także i dodatki do podatków, przeznaczone na pokrycie potrzeb powiatu, uchwalone nie zostały, więc, rzecz jasna, władze podatkowe nie mają prawa ściągania tych dodatków. Lecz p. Geppert i Sławiński umią sobie radzić. Oto p. c. k. starosta Geppert wydał do podwładnych sobie urzędów podatkowych następujące rozporządzenie z dnia 2 lipca 1903 r. L. 22440: „Według zasięgniętych w krótkiej drodze informacyj dodatki powiatowe w 1903 będą wynosiły o trzy procent więcej, aniżeli w 1902 roku, czyli 21 procent". Następuje nakaz, aby dodatki te w oznaczonej wysokości 21% ściągano.

Bezprawie, jakiego się tym sposobem dopuszcza p. Geppert, każe szukać sobie równego. Pan Geppert wyznacza „według informacyj, zasięgniętych w krótkiej drodze", wysokość autonomicznych podatków i oddaje je p. Sławińskiemu, który gospodaruje od roku groszem publicznym bez żadnej kontroli, wbrew woli ogromnej większości obywateli powiatu wadowickiego. W obronie zagrożonych praw autonomii powinien stanąć wydział krajowy, namiestnictwo zaś powinno czemprędzej pouczyć swego urzędnika wadowickiego, jakie są granice jego władzy.

Poprawczy egzamin dojrzałości w szkołach średnich odbędzie się — jak ogłasza „Gazeta lwowska" — dnia 25 stycznia 1904 r. w tych zakładach, w których odbywał się egzamin poprawczy dojrzałości, albo cały egzamin dojrzałości w terminie jesiennym.

Miejskie biuro pośrednictwa pracy we Lwowie przenosi się z placu Bernardyńskiego l. 15, do nowego lokalu przy ulicy Arsenalskiej l. 6. I piętro (róg Podwala), obok kościoła Dominikanów. Urzędowanie w nowym lokalu rozpocznie się w sobotę, dnia 2 stycznia o godz. 8 rano. Godziny urzędowe od 8 rano do $2^1/_2$ po południu.

Eksplozya w fabryce „Tlen". Ze Lwowa donoszą: Ofiara strasznej eksplozyi w fabryce chemicznej „Tlen" Julia Witeusz zakończyła wczoraj nad ranem życie. Pogrzeb nieszczęśliwej ofiary odbędzie się kosztem fabryki.

Za co hakata chleb odbiera? „Preus. Lehrer-Ztg." podaje następującą notatkę: Nauczyciel ludowy Guziński w prowincyi poznańskiej został uwolniony po 28 latach służby za to, iż: W dniu 3 września 1902 r. przy odbiorze pruskiej flagi nie zwinął jej należycie, lecz pogardliwie odrzucił na bok. W święto sedańskie tegoż roku rozpoczął lekcyę nie natychmiastowem odpowiedniem uczczeniem uroczystości. Wreszcie nie przesłał zeszytów szkolnych do przejrzenia starszemu nauczycielowi. Prócz tego miał się dopuścić G. paru innych przewinień, niewątpliwie jeszcze błahszych, skoro organ nauczycielski już ich nie cytuje. „Vorwärts", powtarzając tę litanię „win", nazywa wyrzucenie na bruk człowieka długoletniej pracy za takie idyotyczne zarzuty, czemś niesłychanem, i piętnuje pismo nauczycielskie, które w swem serwilizmie zwie ową dymisyę „zupełnie uprawnioną".

Demonstracye żołnierskie. „Times" donosi o demonstracyach żołnierzy w Rosyi, ściślej mówiąc na Kaukazie. W Czakotauri urządziło demonstracyę 80 rekrutów, którzy ze śpiewem przeciągali przez ulice miasta. W Ozurgeti była podobna manifestacya; wołano przytem: Precz z caratem, z samodierżawiem, z militaryzmem! Batum, dokąd napływają rekruci z różnych okolic Kaukazu był widownią szczególnie wielkiej demonstracyi. Więcej, niż 2000 rekrutów szło w ordynku z czerwoną chorągwią na czele, na której widniał napis: „Precz z militaryzmem! Precz z absolutyzmem! Niech żyje republika!"

Na to wzburzenie umysłów — wpłynęło, jak podnosi „Times" — nie tylko szykanowanie Ormian przez rząd rosyjski, lecz także fakt, iż żołnierze zmuszeni są do występowania podczas strejków przeciw robotnikom, oraz bywają odkomenderowywani do warsztatów na miejsce strejkujących.

I car też komponuje... Nie tylko Wilhelm zasiadł na tronie, jako poeta, muzyk itd. itd., ale i car podobno tworzy jakieś poezye i pieśni... Skomponował pieśń wigilijną, oraz wiersze, w których wielbi pustelnika Serafina z Sarowa. Wiersze te są rymowanem uzupełnieniem ukazu „najwyższego", w którym polecono owemu Serafinowi być świętym, (a prochy starca natychmiast poczęły wiernopoddańczo sprawować cuda z zakresu lecznictwa).

Konkurencya taka Mikołaja II i jego do muz zaloty gotowe zaniepokoić nieco imperatora berlińskiego. Dawniej mógłby on wskazać na teren, gdzie nikt mu niedorówna i rzec: alem ja najpłodniejszy mówca! Dziś demostenesowski zapał i talent Hohenzollerna zamilknąć musi, jak zerwana struna...

Pozostaje jeszcze jedna przewaga: wąs w wyż nastroszony na *es ist erreicht!* Lecz car może się powołać na pomysł, równie ozdobny: różdżkę oliwną z oranżeryi w Haadze, którą swe berło samodzieżcze umaił.

Międzynarodowy komitet socyalistyczny zbierze się dnia 7 lutego w Brukseli. Na posiedzeniu zda nasamprzód sprawę sekretaryat z swej czynności i przedstawi plan dalszej działalności, co do której decyzya należy do biura. Następnie obradować będzie biuro nad sprawą kongresu międzynarodowego i polityki międzynarodowej.

Pieśniarz proletaryatu. Pieśń „L'Internationale" („Międzynarodówka") stała się francuskim i belgijskim hymnem proletaryatu — jego pieśnią bojową i pieśnią nadziei... Ludwik Lumet w „Petite Republique" informuje o kompozytorze tej pieśni, która gra na nerwach milionów, jak na strunach... Muzykę ową skomponował tow. Piotr de Geyter. Geyter, urodzony w Gandawie w r. 1848, pochodził z biednej rodziny robotniczej. Dziecię proletaryusza idzie do mordowni-fabryki, licząc zaledwie 8 lat.

Po 9-godzinnem pobycie z zabójczej dla młodego organizmu atmosferze fabrycznej — żądny wiedzy chłopiec rwie się jeszcze w domu do książek... Mając głos ładny i wielką zdolność do muzyki uczęszcza w 16-tym roku życia, do konserwatoryum w Lille, dokąd się jego rodzina przeniosła, i kształci się wieczorami, wolnymi od znojnej pracy, w śpiewie i muzyce. Prócz muzyki uczy się rysunku, a w miarę postępu trudnić się zaczyna rzeźbą w drzewie. Równocześnie gorliwie zabiera się do propagandy socyalistycznej, powołując do życia organizacyę pod nazwą „Emancypacya socyalistyczna Północy".

W r. 1888 de Geyter komponuje muzykę do „L'Internationale". Tow. Delory, burmistrz mia

sta Lille i poseł socyalistyczny, pożyczył mu zbiorek poezyj Pottiera z propozycyą, by wybrał jaki wiersz i spróbował na tony muzyczne go przełożyć. Słowa „L'Internationale“ tak porwały Geytera, że w przeciągu jednej nocy stworzył muzykę, w której tak pochwycił to, co drga w sercu proletaryusza, iż wkrótce jej tony spopularyzowały się w całej Francyi i Belgii... Na Geytera spadły prześladowania. „Pracodawcy“ zmówili się, by kęs chleba odjąć mu od ust: w żadnej fabryce, w żadnym warstacie nie było dlań pracy. Geyer założył własny warsztacik stolarski, gdzie mimo swych aspiracyj do rzemiosła artystycznego, wyrabiać musiał rzeczy proste, a pokupne: skrzynie, szafy, trumny. Ze swej pieśni żadnych nie chciał czerpać zysków. Poeci i kompozytorowie, tak we Francyi, jak w Belgii, tworzą towarzystwa, strzegące pilnie ich praw wobec nakładców, gwarantujące im zyski z ich utworów... Autor jednej z najpopularniejszych pieśni, chciał, by dostawała się ona do rąk tysiącznych, tem dostępniej, że nie obciążona żadnem „mytem“ autorskiem.

W lipcu roku bieżącego tow. Geyter przy pracy ciężko zranił się w rękę, przyczem postradał dwa palce — dotąd jeszcze od towarzystwa ubezpieczenia od wypadków nie otrzymał odszkodowania.

Bieda zawitała pod jego dach. Jednakże, w jednej z ostatnich list składkowych na pomnik dla Eugeniusza Pottier, którego słowa niegdyś podniosły jego twórczość, znajduje się datek pieśniarza-kaleki 1 frank 50 centimów.

Nowy socyalistyczny dziennik włoski uka że się wkrótce w Mantui. Demokratyczne bowiem pismo codzienne „Prowincya mantuańska“, staje się pismem socyalistycznem wskutek przejścia redaktora Bacci'a do partyi socyalistycznej.

W jednym z pruskich garnizonów podczas musztry rekrutów kapral Herber komenderując naśladował głos kapitana. Oburzony tem kapitan ukarał go trzydniowym aresztem koszarowym. Na drugi dzień feldwebel podczas „befelu“ odczytał następujący rozkaz kompanijny: „Kapral Herber został skazany na 3 dni aresztu koszarowego za to, że naśladował głos kapitana, rycząc jak wół“.

Wolne żarty.

Pan Maciej spotkał mnie dziś w mieście.
„Ach, panie Jowialski!“ — rzekł;
„Spotykam pana więc nareszcie!
Wszak pan już milczysz cały wiek!“

„Tak jest, bo widzisz, mój Macieju,
W tych mrozach zamarzł dowcip mój...“
„Ej... wolne żarty, dobrodzieju,
Z kim innym sobie kpiny strój!“

„Więc powiem panu bez ogródek:
Zamgliło mnie z powodu świąt.
Wśród ryb i kiełbas, win i wódek
Powędrowała muza w kąt.

Zające, wieprzki i szczupaki
Przez cały czas dzierżyły prym.
A piwa, starki i koniaki
Wciąż mi mąciły każdy rym.

Bo tak to bywa już z natchnieniem,
Że się ulatnia zwykle z głów
W dwa dni przed Bożem Narodzeniem,
W pięć po Szczepanie wraca znów.

Na wilii tu — tam na opłatku,
Wypijesz tu — wypijesz tam,
Aż strąbisz się i naostatku,
Czy żyjesz, bracie, nie wiesz sam.

Tak wciąż łamałem się opłatkiem:
Znajomych mam Krakowa pół.
A wstyd za kołnierz lać ukradkiem.
Zwaliłem wreszcie się pod stół.

Jeszcze mnie bolą wszystkie kości!
Milczenie me pochodzi stąd.
Bo nie należę do „Trzeźwości“
I czczę tradycyę polską świąt“.

Jowialski.

Krakowska rada miejska odbędzie posiedzenie w poniedziałek 4 b. m. o godz. 5 po południu. Na porządku dziennym sprawozdanie komisyi inwestycyjnej o rokowaniach z Towarzystwem tramwajowem, co do wykupna tramwaju elektrycznego przez gminę.

Jak zaczął i jak skończy „wszechpolak“ Studnicki? Tem pytaniem zajmie się dnia 5 lutego 1904 r. krakowska ława przysięgłych. W dniu 26 sierpnia 1903 r. pojawiła się w „Naprzodzie“ notatka kronikarska, w której napisano między innymi: „Do jakiego upodlenia stoczył się przedwczorajszy socyalista, wczorajszy ludowiec, a dzisiejszy wszechpolak, Władysław Studnicki, to pokazał on sam w redagowanym przez indywiduum z pod ciemnej gwiazdy Feliksa Mrawinczyca wszechpolskim „Tygodniku polskim“, w którym ośmiela się pisać następujące nikczemne oszczerstwa“... „Drab, który w swym rozwoju doszedł do tego, że takie łajdactwa wypisuje, może już śmiało wstąpić do „Przeglądu“, „Czasu“, „Głosu narodu“ lub do policyi, jeżeli nie skończy wprzód w Kulparkowie lub kryminale.

Obecnie łajdak ten jest redaktorem politycznym „Słowa polskiego“ i ideowym zapładniaczem wszechpolskiego stronnictwa. Wszechpolak, stańczyk, policyant — bardzo blizkie pokrewieństwo“. Z powodu tej notatki Studnicki wniósł skargę prasową przeciw tow. Kaczanowskiemu. Rozprawę wyznaczono przed sądem przysięgłych na dzień 5 lutego 1904. Charakterystyczne doniesienie Studnickiego i akt oskarżenia z motywami podamy dopiero pod odczytaniu go na publicznej rozprawie.

Nieczytelne recepty. Ministerstwo spraw wewnętrznych rozporządzeniem z dnia 27 grudnia 1903 roku wydało przepis, ażeby recepty we wszystkich swoich częściach były czytelne. Na recepty nieczytelne lub dla aptekarza niezrozumiałe należy nie wydać lekarstwa bez poprzedniego wyjaśnienia ze strony ordynującego lekarza. Na receptach powinien z reguły znajdować się adres pacyenta, a mianowicie nazwisko jego i miejsce zamieszkania. Jeżeli lekarz adresu na recepcie nie umieścił, ma to uczynić aptekarz. Jeżeli strona na to zgodzić się nie chce, wówczas, w porozumieniu z nią ma aptekarz zaopatrzyć znakiem konwencyonalnym dla zapobieżenia pomyłce. Dalej zabrania rozporządzenie przy wydawaniu proszków i wsypywaniu ich do papierowych woreczków, roztwierania tych woreczków za pomocą dmuchania. W ten sposób chce ministerstwo zapobiedz przenoszeniu bakteryj z ust do woreczków.

Zasuspendowany burmistrz. Z Pragi donoszą: Burmistrz przedmieścia Żiżkow nazwiskiem Zdarski, przeciwko któremu toczy się śledztwo o rozmaite nadużycia, został zasuspendowanym z urzędu.

O uwięzieniu Sokołowa podają pisma wiedeńskie, iż przed terminem procesu kiszyniewskiego zebrał on liczne dane, dowodzące, iż ekscesy przeciwko żydom zorganizowane zostały przez pułkownika żandarmeryi Lewendala, przeniesionego na parę miesięcy przed wybuchem rozruchów z Petersburga do Kiszyniewa.

Sokołow zbadał mianowicie, iż Lewendal na swym nowym posterunku utworzył sobie cały sztab własnych tajnych agentów, którzy zajmowali się podszczuwaniem przeciwko żydom, mieli do rozporządzenia znaczne środki pieniężne.

O tych swoich odkryciach usiłował Sokołow kilkakrotnie dokładnie poinformować przewodniczącego sądu, za każdym razem jednak spotykał się z opryskliwą niechęcią. Aresztowanie Sokołowa tłómaczą wszyscy chęcią zamknięcia ust człowiekowi, wiedzącemu za wiele.

Pożar teatru.

Kilkaset osób spalonych!

Chicago, 31 grudnia. W teatrze „Irokez“, podczas drugiego aktu baletu „Blaubart“, wybuchł wczoraj pożar. Powstała panika. Poczęto się cisnąć ku wyjściu. Wiele pań, które zemdlały, potratowano. Z najwyższej galeryi nikt nie ocalał, tak samo i z niższej. Trupy znaleziono między krzesłami. Schody były pełne trupów. Między zwłokami przeważają zwłoki kobiet i dzieci. Najstraszniejszą była chwila, gdy pękły dwa rezerwoary gazowe i widownia napełniła się żarem. Zwłoki albo są popalone, albo wskazują na uduszenie. Miejsca, gdzie rozpoznaje się zwłoki, są przepełnione i nie mogą więcej zwłok pomieścić.

Liczba ofiar, rannych i tych, którzy zginęli, nie jest jeszcze ustaloną i podają ją różnie: między 200 a 600 osób.

Chicago, 31 grudnia. O godzinie 10 wieczorem liczba ofiar nie była jeszcze ustaloną. Policya podaje, że wydobyto 673 osób. Także wielu artystów miało zginąć.

Chicago, 31 grudnia. Urzędowo podają, że przy pożarze w „Irokez“ zginęło 392 osób.

Chicago, 31 grudnia. Doniesienia co do ofiar pożaru w teatrze różnią się od siebie. Dzienniki doniosły, że spaliło się 562 osób, a 55 brakuje, dzisiejsze zaś sprawozdanie policyi stwierdza brak 536 osób.

„Neue freie Presse“ otrzymała z Nowego Jorku telegraficznie następujący opis pożaru teatru Iro-Quais w Chicago:

Wczoraj po południu podczas przedstawienia dla młodzieży teatr Iro-Quais był przepełniony. Około godziny 4 zapaliły się nagle dekoracye na scenie i stanęły odrazu w płomieniach. Chór, zapełniający całą scenę, któremu ogień odciął odwrót za kulisy, rzucił się w wielkim popłochu ku audytoryum. Chórzyści zaczęli zeskakiwać ze sceny lub usiłowali dostać się do proscenicznych lóż.

Panika udzieliła się publiczności. Przechodzący koło teatru usłyszeli nagle przeraźliwe okrzyki: gore! W jednej chwili zebrały się przed teatrem tłumy, które usiłowały wtargnąć do wnętrza, tak, że zaalarmowana straż ogniowa zniewolona była siłą torować sobie drogę.

Wewnątrz teatru rozgrywały się okropne sceny. Widzowie na I. galeryi nie zdołali ruszyć się z miejsca.

Większa część widzów, nie mogąc w natłoku ruszyć się z miejsca, umarła w stojącej postawie. Dziesiątki trupów znaleziono w stojącej pozycyi z zupełnie zwęglonemi głowami. Nie lepszy los spotkał tych, którzy zdołali przedrzeć się do foyer. I tam ginęli ludzie wśród ognia i dymu.

Około drzwi toczyła się okropna walka; kto upadł, tego bezlitośnie deptano. W kurytarzach, w foyer i w audytoryum leżały ciała ludzkie zdeptane i zmiażdżone na bezkształtną masę, tworząc pokład na dwie stopy gruby. Z dzieci, które zdołano wynieść, żadne nie żyło dłużej nad kilka minut.

Gdy ogień ogarnął scenę, kilkadziesiąt osób z galeryi skoczyło do audytoryum, na głowy walczących tam o wyjścia. Inni wyskakiwali z okien na ulicę, rozbijając się o bruk. Z tych tylko kilkunastu zdołano ocalić.

Ogień szerzył się z taką szybkością, że w ciągu 20 minut po wybuchu cały teatr stał w płomieniach. Liczba ocalonych wynosi zaledwie 200 osób.

Przed płonącym gmachem zebrało się około 40.000 ludzi, których ogarnął prawdziwy szał przerażenia. Tłum co chwila usiłował przerwać kordon policyjny i wtargnąć do gmachu. Ci, których dzieci lub krewni znajdowali się w teatrze, wydawali dzikie okrzyki rozpaczy.

Na miejsce katastrofy przybyło 50 lekarzy, którzy opatrywali wynoszonych z teatru. Niewiele osób tylko zdołano przywrócić do życia. Zwłoki wielu osób wyglądały wprost okropnie.

Chicago, 1 stycznia. Sceny, jakie się rozegrały podczas pożaru teatru Iro Quais, nie dadzą się opisać. Zwłoki ofiar leżą masami w trupiarniach i po ekspozyturach policyjnych. Rozpoznawanin zwłok jest niemożliwe, gdyż ubrania na nich są popalone, a twarze podeptane. Przyczyną pożaru, jak sądzą, była wadliwa konstrukcya elektryczna, a później także i pęknięcie reserwoaru z calcium. Pożaru nie można było umiejscowić na scenie, gdyż kurtyna asbestowa zapadła tylko do połowy, a płomienie wydostały się popod kurtynę na widownię. W teatrze było obecnych 1300 osób, przeważnie kobiet i dzieci. W drzwiach i na kurytarzach rozgrywały się straszne sceny.

Chicago, 1 stycznia. Według ostatnich obliczeń w rozmaitych trupiarniach znajduje się 564 zwłok zwęglonych przy pożarze w tearze Iro Quais. W szpitalach znajduje się 157 osób rannych, z tego zaledwie połowę będzie można utrzymać przy życiu. Nad ranem trupiarnie były formalnie oblężone przez tłumy ludzi, którzy przyszli szukać swych krewnych i znajomych. Słychać, że straż ochotnicza pożarna w panice tak straciła głowę, że nie była zdolną do żadnego ratunku. Gdy kurtyna asbestowa opadła tylko do połowy, robotnicy zajęci na scenie uciekli.

Publiczność wiedziała tylko o czterech wyjściach, mimo, iż teatr posiadał ich aż 40. Przy wyjściach rozgrywały się straszliwe walki. Gdy przystawiono drabiny ratunkowe, tyle osób weszło na nie, iż wiele z nich pospadało na bruk i pozabijało się. Pokazuje się, że budowa teatru nie była jeszcze ukończoną, tak np. jedne schody kończyły się już 50 stóp ponad ziemią, a mimo tego nie przystawiono żadnej drabiny. Wiele osób musiało się udusić, gdyż znaleziono je w pozycyi siedzącej na miejscach zapatrzone w scenę.

ZAWIADOMIENIA.

Uniwersytet ludowy w Krakowie. Dziś:

W sali Muzeum techniczno-przemysłowego (ul. Franciszkańska) o godz. 6 wieczorem: prof. dr Władysław Wasung: „Goethe i Szyller“. — O godz. 7½ wieczorem: p. Marya Turzyma: „Praca zawodowa kobiet“.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.

Piątek o godz. 3 po południu: „Kopciuszek“, widowisko fantastyczne w 8 obrazach ze śpiewami i tańcami przerobił A. Walewski (ceny zwykłe). — O godz. 7 wieczorem: „Wesele Figara“, komedya w 5 aktach Beaumarchais'go, ilustrowana muzyką Mozarta.

Sobota: Koncert Ignacego Paderewskiego.

Niedziela o godz. 3 po południu: „Dom otwarty“, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego (popularne). — O godz. 7 wieczorem: „Kopciuszek“ (ceny zwykłe).

Poniedziałek: Koncert Ignacego Paderewskiego.

Wtorek: „Zmartwychwstanie“, sztuka w 5 aktach L. Tołstoja i Bataille (popularne).

Środa o godz. wpół do 3 po południu: „Kopciuszek“ (ceny zwykłe). — O godz. 7 wieczorem: „Makbet“, tragedya w 5 aktach W. Szekspira.

Repertuar teatru ludowego w Krakowie.

Piątek po południu: „W noc Bożego Narodzenia“, opowieść zimowa w 8 odsłonach A. Mielewskiego z muzyką M. Świerzyńskiego. — Wieczorem: „Trójka hultajska“, melodramat w 4 aktach z tańcami i śpiewami Nestroja.

Sobota: „Hajduczek“, komedya w 4 aktach z powieści Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski“, przerobił na scenę J. Popławski.

Niedziela po południu: „W noc Bożego Narodzenia“. — Wieczorem: „Trójka hultajska“.

TELEGRAMY.

Sejm bukowiński.

Czerniowce, 1 stycznia. Sejm na wczorajszem posiedzeniu załatwił budżet, poczem został zamknięty.

O język armii.

Pozega, 31 grudnia. Rada miejska uchwaliła wczoraj rezolucyę, domagającą się urządzenia większej ilości zakładów wojskowych wychowawczych w Chorwacyi, oraz chorwackiego języka służbowego. Rezolucya ta będzie przesłaną banowi i ministrowi honwedów.

Traktat handlowy z Włochami.

Wiedeń, 31 grudnia. Traktat handlowy z Włochami z dnia 6 grudnia pozostaje na podstawie prowizorycznej umowy z włoskim rządem aż do zawarcia definitywnego traktatu i nadal w mocy, jednakże najdłużej do 1 października 1904. Wyjętą jest tylko klauzula celna na wino, która z dniem 1 styczni[illegible]atwienia interesó[illegible]rwania klauzuli ce[illegible] postanowienia prz[illegible]órych wina włoskie[illegible] do Austro-Węgier [illegible]órych sprzedaż w tym [illegible]ycznia 1904 r. urzędow[illegible]oną, korzystać będą w [illegible] do d. 31 stycznia 190[illegible]sowej wysokości 3 K 20[illegible]kie same postanowienia [illegible]ały ustanowione także na w[illegible]wysłane do Austro-Węgier w t[illegible]zasie, które korzystać będzie [illegible]ychczasowego cła w wysokości 5 lirów 77 centesimów.

Rzym, 1 stycznia. Nota agencyi Srefaniego donosi o zawarciu prowizorycznej umowy handlowej pomiędzy Austryą a Włochami. Nota donosi dalej, że rząd przedłoży parlamentowi zarządzenia mające na celu rozwój swojskiego chowu ryb w Adryi, chowu koni i produkcyi drzewa.

Dalsze zarządzenia tyczyć się będą podniesienia produkcyi pomarańczy i cytryn, oraz zawarcia umowy z Rosyą i Stanami Zjednoczonymi w sprawie zniżenia cła na pomarańcze i cytryny.

Sejm pruski.

Berlin, 1 stycznia. Sejm pruski zwołany został na 26 stycznia.

Strejk dorożkarzy.

Barcelona, 31 grudnia. (Tel. B. kor.). Woźnice dorożkarscy napadli wczoraj na przedsiębiorców, którzy nie chcieli zawrzeć z nimi umowy. Przedsięwzięto kilka aresztowań.

Powstanie krajowców w Gwinei.

Lokodscha (Górna Gwinea), 31 grudnia. Biuro Reutera donosi: Plemię Akapoto, zamieszkałe na południe od Beninu, powstało. Rezydent angielski i oficer policyi zostali zabici. Będzie wysłaną ekspedycya karna.

Przed wojną koreańską.

Londyn, 31 grudnia. Biuro Reutera donosi, że Japonia zakupiła wczoraj dwa okręty argentyńskie, które znajdują się obecnie w budowie w Genui.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. — W stow. „Postęp“, ul. Starowiślna 42, odbędzie się w sobotę 2 stycznia zabawa sylwestrowa, połączona z tańcami. Początek o godz. 8 wieczorem.

Kraków. — **W stowarzyszeniu zawodowem pomocników handlowych,** Sebastyana 16, odbędzie się w sobotę 2 stycznia o godz. 7½ wieczorem zebranie koleżeńskie członków. Wstęp tylko dla członków.

Kraków. — W stow. „Postęp“, ul. Starowiślna 42, odbędzie się w poniedziałek 4 stycznia o godz. 8 wieczorem **poufne zgromadzenie pomocników fryzyerskich.**

Kraków. — W stowarzyszeniu piekarzy, ul. Sławkowska 11, odbędzie się w niedzielę 3 stycznia o godz. 11 przed południem **poufne zgromadzenie robotników piekarskich.**

Wiedeń. — Stow. robotników polskich „Siła“ (V. Wildemanngasse 2): W niedzielę 3 stycznia o godz. 8 wieczorem wygłosi tow. Fensterblau odczyt p. t. „Tkacze“ (dramat Hauptmana).

Oddział I. (II. Untere Augarstenstr. 39). W niedzielę 3 stycznia o godz. 8 wieczorem wygłosi tow. Gertz odczyt p. t. „Patryotyzm socyalnego demokraty“.

Wiedeń. — Lekcye chóru robotników polskich odbywają się co wtorki i czwartki od godz. 7½ do 9½ wieczór w lokalu „Siły“, V. Wildemanngasse 2.

Lekcye tańców odbywają się co poniedziałki i piątki w sali V. Margarethenplatz 7 od godz. 8 do ½10 wieczór.

Przemyśl. — We czwartek odbędzie się w Związku stow. rob., przy ul. Dobromilskiej 15, sylwestrowy wieczorek, połączony z tombolą i szeregiem zabaw towarzyskich. Początek o godz. 7 wieczorem.

Przemyśl. — Na podstawie uchwały komitetu partyjnego odbywać się będą dwa razy w tygodniu, a mianowicie w poniedziałki i czwartki o godz. 8 wieczorem pogadanki naukowo-społeczne z dyskusyą, w sali stow. robotniczych. Wstęp wolny dla wszyst. członków organizacyi.

W sobotę co tydzień o godz. 2 po południu odbywać będą pogadanki dla towarzyszów izraelickich w sali stow. robotniczych.

NADESŁANE.

Za ten dział redakcya nie odpowiada.)

W KAWIARNI.

Godzina poobiednia. Wielka sala kawiarni natłoczona. wszystkie stoliki oblężone, a kelnerzy z trudem przeciskają się wśród gości. Słychać często uderzania łyżeczką o szklankę... Nic nie pomaga. Ten i ów psyka — na nic; bywalcy, jako śmielsi. nawołują kelnerów po imieniu.

— Panie Antoni!

— Służę panu dobrodziejowi — woła pan Antoni i oddala się w przeciwnym kierunku, bo oto tam pod ścianą ktoś głosem rozpaczliwym właśnie woła: „Płacić!“

— Panie Stanisławie. na miły Bóg. kiedyż tam przyjdzie moja „Pressa“?

— Do usług pana dobrodzieja... zajęta.

— No to proszę chociaż kawy — mówi zrezygnowany bywalec.

— Do usług, zaraz — odpowiada pan Stanisław i znacznie pochopniej poczyna lawirować w kierunku bufetu.

Dym osłania wszystkie te postacie zdenerwowane, ziewające, znudzone; ponad głowami gości chwieją się tace, z gracyą niesione przez kelnerów, a przez wpół uchylone drzwi sali bilardowej widać miganie kijów i dochodzi szczęk bil. Dużo znanych twarzy, ustawicznie też kłaniają się sobie znajomi, lub powstają, by wymienić uścisk dłoni i wyrzec parę słów, np.:

— No co słychać?

— Phii. nic nowego.

— Tak. tak, trafia się i to.

— Cóż tam Koerber?

— Phii, nic, istnieje.

— A kanał spławny?

— Phii. kto poczeka. ten się dowie.

— Ano do widzenia — mówi znajomy po namyśle.

— Servus — odpowiada drugi.

— Una! — przeciąga się pierwszy.

Znajomy z trudem odpływa na swoje miejsce. jak dziurawy okręt, co chwila kładący się na bok... bo oto tego udeptał, tamtego trącił. przeto kłania się, przeprasza. Czasem jest „ryba“.

— Aa! Pana radcy dobrodziejaszka!

— Jak zdrowieczko?

— Stokrotne dzięki... cóż tam. he-he, w polityce. ha?

— Phii. nic — mówi dygnitarz tajemniczo.

— No, przecież?

— Kawa dla pana radcy dobrodzieja — woła pan Stanisław właśnie w porę.

— Panie Stanisławie, a moja „Pressa“ — błaga „ryba“.

— W tym momencie, natychmiast — i odbiega.

— Ano. to ja pana radcy nie tego... nie zabawiam — mówi uprzejmy pan i podaje rękę.

— Paam do nóg.

Pełno już. a co chwila napływają nowi goście. Zdjęli okrycia w garderobie, stoją teraz w progu sali, zacierając ręce i kiwając się w ukłonie to temu, to owemu. Niektórzy wysoko wznoszą pod światło zdjęte z nosa cwikiery, które „zaszły“. Jak żórawie po ściernisku zwolna suną, ciągle rozglądając się za miejscem. Sterczą jak płonne kłosy na łanie pszenicznym przed żniwami. Powoli jednak znika jedna, druga głowa — znalazło się miejsce. Ale na miejsce tych, co usiedli, przybywają nowi. a kawiarnia jak potwór bajeczny pochłania wszystkich.

Ścisk największy pod wielkiemi oknami, przez które najwygodniej w świecie obserwować można cały kochany Krakowek: Szyldwacha. nudzącego się „pod baranami“ i drugiego, nie lepiej ubawionego przed odwachem. Ha... trudno... porządek przedewszystkiem... Parę kroków dalej stoją fiakry. Konie, wyłapawszy ostatki strawy z brudnych worków, otulających im pyski, zwiesiły łby, nudzą się, czy też może rozmyślają nad aktualną dla każdego bądźcobądź konia-krakowianina kwestyą miejskich jatek końskich — nie wiadomo.

Widać z onego uprzywilejowanego miejsca (które się tem także odznacza, że jest tu względnie widno) i inne osobliwości, o których mógłby wiele opowiedzieć np. oto szanowny pan Klemens. całkiem niesłusznie tak przez znajomych nazwany, gdyż na imię mu Zygmunt, a na nazwisko też inaczej. Przyszedłszy „przed chwilką“, dotarł szczęśliwie do owego tuskulum i wciśnięty w róg „secesyjnej“ kanapki. od kilku godzin poprzez górny brzeg „Pressy“ przygląda się rynkowi. Na kolanach jego i pod nim kilka innych dzienników, które mają taką minę, jakby zwątpiły. by kiedykolwiek na nie kolej przyszła.

Naraz pan Klemens drgnął. Jegomość, duszący *vis a vis* niego od jakiegoś czasu „Bociana“, ptaka, z którego wydarto już wszystkie pióra, rzucił szczątki tego, ogólnie przedrwiwanego tworu na stolik, powstał, przeciągnął się i bąknął zwrócony ku panu Klemensowi:

— Taag! — a potem zawołał na całe gardło: — Płaczycz!

Panu Klemensowi „Presse“ wypadła z ręki.

Jegomość, ciągle wołając na płatniczego, postąpił krok naprzód, a równocześnie pod jego łokciem prześlizgnął się do stolika człowieczek z ryżą bródką, świdrującemi oczkami, chudy jak kancelista, a wesoły jak prokurator po konfiskacie w porze odroczenia sesyi parlamentu. Siadł, zatarł rączęta zgrabiałe, kiwnął ku Klemensowi przyjaźnie głową i zapiszczał cieniutko a donośnie:

— „Czas“ i „Naprzód“! — dodał ciszej i zerknął zarazem na prawo i lewo.

W tej chwili coś zaszeleściało u nóg pana Klemensa. Pan Klemens rzucił się w bok. Był dzisiaj kompletnie wyprowadzony z sosu, więc namarszczył się, spojrzał i oto ujrzał pod stołem kudłatą głowę, oraz wyciągniętą chudą rękę. Ręka pochwyciła ponuro rozciągniętą u jego nóg „Presse“ i za chwilkę z cienia wynurzyła się postać pana Stanisława.

— Uff! — odsapnął.

— „Czas“ i... „Naprzód“! — zapiszczał człowieczek powtórnie.

— Służę panu dobrodziejowi! — zawołał kelner i pobiegł ze zdobyczą ku stolikowi radcy.

— „Presse“! „Presse“! służę jaśnie wielmożnemu panu!

Ale „ryba“ już odeszła. Pan Stanisław zrobił grymas pogardliwy, cisnął gazetę na stojący obok czerwony puf, z którego oparcia zwieszały się smętnie, ongi wspaniale zielone wiechy papierowej palmy. Gazetę pochwyciły jakieś chciwe ręce, nim upadła na wysiedziane poduszki.

Pan Klemens patrzył na człowieczka z ryżą bródką, który kręcił się niespokojnie.

— Mikrob Sprawiedliwości! Baccillus Justitiae ambulans! — mruknął pod nosem, ryzykując z miejsca dyagnozę.

— Słucham! — rzekł człowieczek. — Pan szanowny coś mówił, wszak prawda?

— Czas okropny! — rzekł pan Klemens, gryząc wargi.

— Istotnie, a przecież dużo piękniej, niźli zeszłego roku o tym czasie, wszak prawda? — trzepał człowieczek. — „Czas“ i... „Naprzód“! — pisnął ku przechodzącemu panu Antoniemu. — Tak, wszak prawda, że dużo piękniej... Cóż to za nieporządek w tej naszej kochanej mieścinie.

— Tak, tak magistrat np... — począł zjadliwym głosem pan Klemens.

— Ależ, ależ, ja w tej chwili... a propos obsługi. Człowiek sobie tutaj przed biureczkiem na gazetkę... a ot nie dają, wszak prawda?

Wyjął zegarek, spojrzał, zatarł ręce i zerknął ku panu Antoniemu, który, stojąc przed półkami na gazety, oddzielony od niego tłumem ludzi, przeto niedosiężny, grzebał ospale w stosie podartej bibuły, z którego sterczały brudne rączki ramek gazetowych.

Pan Klemens uniósł się na siedzeniu, wydobył z pod siebie zmiętoszonego „Gil Blas'a“ i ze słodkim uśmiechem, a jadowitą intencyą posunął gazetę ku człowieczkowi.

— Może pan sędzia gazetkę? — spytał nagle, ryzykując intytulacyę.

Człowieczek zdębiał, popatrzył przez chwilę na pana Klemensa, a potem na gazetę i rzekł:

— Ach nie, dziękuję... to jest... wszak prawda... jak to pan szanowny odgadł moją, sit venia verbo, godność, to jest urzędzik... hę, hę, hę!

Śmiał się już zaintrygowany, chociaż nie opuściło go jeszcze pomięszanie.

Pan Klemens rzekł poprostu z miną, budzącą zaufanie:

— Ot domyśliłem się... tyle w Krakowie sądów, urzędów, a więc...

— Tak, w istocie... to było genialne. ale zaszło tu małe nieporozumienie, jestem tylko urzędnikiem manipulacyjnym... ale żeśmy tak, to jakoś... więc pozwolę sobie, wszak prawda?

Powstali.

— Oficyał sądowy Wiktoryn Fumferko... (nb. przez *u, m*, gdyż są osoby inne podobnego nazwiska, lecz przez *a*), wszak prawda?

— Klemens.

— Proszę? — rzekł pytająco człowieczek, nie puszczając ręki pana Klemensa i nadstawiając uszu. widocznie zdziwiony.

— Klemens!

— Ach... tak, tak... bardzo mi miło, nad wyraz miło... wszak prawda?

Usiedli. Człowieczek pochwycił za zegarek.

— Gwałtu, już pół do drugiej! a ja... wszak prawda? Pst! Pst!

Szukał po stole, czemby dać sygnał — nie znalazł. Klemens usłużnie zapukał w swą szklankę.

— Proszę! — huknął z oddali pan Antoni i począł przedzierać się przez tłum, unosząc ponad głową dużą płachtę gazety, wyciągniętą na ramce.

— „Czas“ i... — począł urzędnik.

— Służę „Czas“! — rzekł pan Antoni.

Człowieczek z ryżą bródką urwał nagle.

— I... kawę! — dokończył cichym głosem.

— I „Naprzód“ — rzekł głośno pan Klemens.

Urzędnik poczerwieniał jak burak i spuścił głowę. Wziął pismo do ręki, czytał chwilę. Nagle odłożył gazetę i spytał stanowczym tonem:

— Czy pan szanowny może też urzędnik?

— A, broń mię Boże! — krzyknął pan Klemens.

Oficyał Fumferko otworzył zdziwione oczy.

— To jest... — tłómaczył się p. Klemens — chciałem tylko powiedzieć: Nie.

— Ach! pojmuję... a więc dziennikarz, literat...

— I to nie — odrzekł p. Klemens.

W tej chwili pan Antoni przebiegł obok stolika, rzucając nań „Naprzód“, i pobiegł dalej.

Pan Fumferko położył na dzienniku rękę i zwolna, niby od niechcenia, potoczył wzrokiem dokoła, potem szybko wtulił się w róg kanapki, pochwycił gazetę i czytać począł. Ale dziś mu jakoś nie szło. Wbity w niego wzrok p. Klemensa drażnił go widocznie. Podniósł głowę.

— Dużo tutaj bywa urzędników w tej kawiarni? — począł zwolna.

— Masa!

— Hę!

— Sędziowie, naczelnicy biur, radcy, słowem cała biurokracya z góry na dół — recytował z pewną intencyą pan Klemens.

Nie zawiódł się.

Pan Fumferko złożył „Naprzód“ na stole, wziął do ręki „Czas“, zasłonił się nim cały i chwilę siedział w milczeniu. Pożółkł jakoś. kręcił się wciąż, coś go gryzło. Nagle wybuchnął:

— Ja dawniej chodziłem do kawiarni C, ale tam taka masa... kolegów, że doprawdy... Człowiek, wszak prawda, chciałby wyjść na jakąś godzinkę z koła ludzi ustawicznie widywanych, z pośród kolegów, co ciągle wiodą biurowe rozmowy... to. wszak prawda, zacieśnia ten... jakże mu tam... światopogląd... to... nudzi panie, nudzi! piekielnie nudzi!

Zaperzył się, zaczerwienił, umilkł. Dziś mu się stanowczo dzień nie udał.

— Czy ciekawy „Czas“? — spytał p. Klemens obojętnym głosem.

Pan Fumferko nic nie odrzekł. spojrzał tylko na Klemensa z urazą.

— No, dość tego — rzekł tenże — może panu memi pytaniami sprawiłem przykrość, proszę mi wybaczyć, teraz będę szczery. Jestem lekarzem i potroszę z tego stanowiska sądzę wszystko. Wyznaję, że pan, panie oficyale, wynalazłeś skuteczne lekarstwo na bakteryę, która toczy biurokracyę. Każdy człowiek, nie chcący skostnieć i zmarnieć. powinien informować się jak najszerzej, czytać wszystko, dążyć do poznania wszystkiego. A przytem... przepraszam za to, co powiem teraz. Czyż to nie ubliża wprost człowiekowi dojrzałemu, ojcu rodziny, że nie wolno mu czytywać tego, co chce, na co ma ochotę... a fe, przyznam się panu. żebym nie zniósł tego, by mnie miano... wybacz pan znowu... szpiegować, nawet w chwilach odpoczynku. wytchnienia, by jakiś tam pan naczelnik...

Człowieczek z ryżą bródką pozieleniał ze strachu.

— Cicho! na miłość boską ciszej pan mów. panie doktorze! — zawołał przerażony. — Do widzenia, do widzenia! — zawołał nagle wstając i począł pukać szklanką w stolik. Był blady i trząsł się.

Panu Klemensowi żal się go zrobiło.

— Płacić, płacić... te... zahlen! — wołał i pchał się ku garderobie. poszturkiwany ze wszystkich stron.

Pan Klemens dogonił go w progu kawiarni

— Bardzo pana przepraszam, jeślim zrobił przykrość — począł.

Urzędnik odsapnął i nagle rzekł głosem zupełnie spokojnym:

— Wcale nie, owszem. kontent jestem. że z kimś... stamtąd... się raz poznałem i nawet panu wyznam — tu zniżył głos — że ja osobiście... ale słowo pańskie...

— Ależ naturalnie.

— Że ja te... sprzyjam, tak panie... sprzyjam serdecznie, ale urząd panie, żona i dzieci. ho-ho-ho! wszak prawda?.. chleb codzienny. Więc tedy myślę sobie: Wiktorynie Fumferko, musisz się mądrze urządzić. I oto biorę zawsze „Czas“, kładę na to „Naprzód“... ta i dalej panie tego *in medias res*... ha-ha-ha! Ja coś jeszcze panu powiem, tylko sza! Czasem tam na fundusik prasowy... pod literkami... wszak prawda ha-ha-ha! a numerek ten i ów kupię... ha-ha-ha!

— Ależ drogi panie. może pan przesadza — począł pan Klemens — przecież czasy się zmieniły. teraz i chłop nie boi się abonować pism socyalistycznych. a i sam widziałem urzędników...

— To szpice, dygnitarze, panie drogi. Im... wolno, bo i tak z nich już nic się nie wyrobi... a co do chłopa... to ja panu powiem: chłop i robotnik, to są wielcy panowie. Oni mogą... No, ale czas na mnie... Do miłego widzenia, do widzenia, panie doktorze! *F. M.*

Za treść ogłoszeń Redakcya nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności. Ceny ogłoszeń w nagłówku.

…ak or odpowiedzialny i wydawca: Kazimierz Kaczanowski. Z drukarni Władysława Teodorczuka i S-ki w Krakowie, Basztowa, Hotel Centralny. (Telefon Nr. 510)